

# ŚWIATŁO MIĘDZY OCEANAMI

M.L. STEDMAN



ALBATROS

Tytuł oryginału:  
THE LIGHT BETWEEN OCEANS

Copyright © Grasshill Communications Ltd. 2012  
All rights reserved  
Published by arrangement with Conville & Walsh Ltd.  
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017  
Polish translation copyright © Anna Dobrzańska 2013

Redakcja: Beata Słama  
Projekt graficzny okładki i serii: Agnieszka Drabek

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
wydawnictwoalbatros.com  
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros



*27 kwietnia 1926*

W dniu, kiedy zdarzył się cud, Isabel klęczała na skraju klifu, modląc się nad małym krzyżem skleconym z drewna, które fale wyrzuciły na brzeg. Wysoko nad jej głową, na niebie tak błękitnym, jak widoczne w dole wody oceanu, dryfowała samotna tłusta chmura. Kobieta spryskała mogiłę wodą i uklepała ziemię wokół właśnie zasadzonego krzewu rozmarynu.

– *...i nie wódź nas na pokuszenie, ale zbaw nas ode złego* – szepnęła.

Przez moment miała wrażenie, że słyszy płacz dziecka. Natychmiast odegnała od siebie tę niedorzeczną myśl i skupiła się na stadzie wielorybów, które płynęły w stronę wybrzeża, by w cieplejszych wodach wydać na świat młode. Ich masywne ogony pojawiały się i znikwały pod wodą niczym igły w błękitnym gobelinie. Znowu usłyszała płacz dziecka, tym razem nieco głośniejszy. To niemożliwe, pomyślała.

Przed nią, aż po horyzont i dalej, do Afryki, ciągnął się ocean. Tu wody Oceanu Indyjskiego wpływały do Oceanu Południowego\*,

---

\*W Australii Ocean Indyjski pomiędzy równoleżnikiem 60°S a południowym wybrzeżem tego kontynentu jest uważany za część Oceanu Południowego, który zgodnie z ustaleniami Międzynarodowej Organizacji Hydrologicznej rozciąga się tylko na południe od 60°S.

tworząc widoczny w dole bezkresny dywan. W dni takie jak ten miała wrażenie, że mogłaby przejść po nim, nie mocząc stóp, aż do Madagaskaru. Z drugiej strony wyspy niespokojne wody ciągnęły się aż do wybrzeży Australii, odległych o prawie sto mil. Niedaleko brzegu, pod powierzchnią, czałł się wysoki łańcuch zdradzieckich podwodnych gór, które wyrastały z dna niczym ogromne połamane zęby, czyhające na każdy niewinny statek płynący do upragnionego portu.

By zapobiec tragediom, na wyspie Janus Rock wybudowano latarnię morską, której światło ostrzegało przed niebezpieczeństwem z odległości trzydziestu mil. Co noc powietrze wypełniał jej monotony szum, kiedy bezstronny w swych osądach snop światła obracał się to w jedną, to w drugą stronę, nie obwiniając skał, nie lękając się fal, a jeśli trzeba było, przynosząc wybawienie.

Płacz nie ustawał. Isabel usłyszała szcęk otwieranych drzwi i na balkonie pojawiła się smukła sylwetka Toma, który obserwował wyspę przez lornetkę.

– Izzy! – zawołał. – Łódź! – Wskazał zatoczkę. – Na plaży jest łódź!

Zniknęła i chwilę później pojawił się w drzwiach na dole.

– Wygląda na to, że ktoś w niej jest! – krzyknęła.

Isabel najszybciej jak mogła podbiegła do męża i razem pokonali stromą, wydeptaną ścieżkę prowadzącą w dół, do niewielkiej plaży.

– To rzeczywiście łódź – stwierdził Tom. – I... jasna cholera! W środku jest jakiś mężczyzna, ale... – Mężczyzna ani drgnął. Na wpół leżał, na wpół siedział oparty o ławkę, jednak płacz nie ustawał. Tom podszedł do łódki i spróbował zbudzić nieznajomego, raz za razem zerkając na dziób, skąd dobiegło kwilenie. Kiedy się wyprostował, trzymał w ramionach zawiniątko: małeńkie płaczące niemowlę, zawinięte w miękkie damski sweter w kolorze lawendy.

– Jasna cholera! – zaklął. – Jasna cholera, Izzy. To...

– Dziecko! Boże Wszzechmogący! Tom! No już, daj mi je!

Oddał jej tobołek i jeszcze raz spróbował obudzić nieznanego, ten jednak nie oddychał. Tom spojrzął na Isabel, która przyglądała się maleńkiej istotce.

– On nie żyje, Izz. Co z dzieckiem? – spytał.

– Wygląda na zdrowe. Nie widzę żadnych siniaków ani skaleczeń. Jest takie maleńkie! – dodała, wpatrując się w niemowlę i tuląc je do siebie. – No już, cichutko. Nic ci nie będzie, kruszyno. Tu będziesz bezpieczna.

Tom stał nieruchomo, patrząc na ciało mężczyzny. Zamykał oczy i otwierał je, jakby chciał się upewnić, że nie śni. Dziecko przestało płakać i chciwie łąpało powietrze.

– Ten człowiek nie ma żadnych ran i nie wygląda na chorego. Nie mógł dryfować zbyt długo... Aż trudno uwierzyć. – Urwał. – Weź dziecko do domu, Izz, a ja przyniosę coś, żeby przykryć ciało.

– Ale, Tom...

– Nie damy rady wciągnąć go na górę. Lepiej zostawić go tu, do czasu, aż nadejdzie pomoc. Nie chcę, żeby dobrały się do niego ptaki czy muchy. W szopie jest stare płótno, powinno wystarczyć. – Głos miał spokojny, ale jego dłonie i twarz były zimne, kiedy ostre jesienne słońce przesłoniły cienie przeszłości.

\*

Janus Rock to zielona wyspa o powierzchni sześciuset pięćdziesięciu akrów. Rosnąca tam trawa wystarczyła, by wykarmić niewielkie stado owiec i kóz oraz kilka kurczaków, a górna warstwa gleby okazała się na tyle urodzajna, że można było założyć ogródek warzywny. Jedynymi drzewami były bliźniacze sosny zasadzone na wyspie przez ludzi z Point Partageuse, którzy w 1889 roku, przeszło trzydzieści lat temu, zbudowali latarnię morską. Skupisko starych mogił było wszystkim, co pozostało po tragedii, gdy statek *Pride of Birmingham* w biały dzień rozbił się o chciwe skały. Po latach na podobnym statku o dumnej nazwie *Chance Brothers*, przybyło z Anglii światło latarni,

cud współczesnej techniki, gwarantujący statkom bezpieczeństwo, bez względu na to, jak niegościnnie i zwodnicze były wody, po których pływały.

Podwodne prądy wyrzucały na brzeg rozmaite rzeczy: szczątki rozbitych statków, skrzynie z herbatą, kości wielorybów. Rupiecie pojawiały się nagle, kiedy chciały i jak chciały. Do stojącej pośrodku wyspy latarni morskiej tuliła się chatka latarnika i budynki gospodarcze, niszczone od wiejących bezustannie gwałtownych wiatrów.

Isabel weszła do kuchni i z dzieckiem w ramionach usiadła przy starym drewnianym stole. Tom starannie wytarł buty i położył na ramieniu żony stwardniałą dłoń.

– Przykryłem biedaka. Jak tam dziecko?

– To dziewczynka – odparła z uśmiechem Isabel. – Wykąpałam ją. Wygląda na zdrową.

Dziecko utkwilo w nim spojrzenie dużych oczu.

– Jak, do licha, udało jej się przeżyć? – zastanawiał się Tom.

– Dałam jej trochę mleka. – Popatrzyła na niemowlę. – Prawda, skarbie? – zagruchała czule. – Jest taka idealna, Tom – dodała, całując małą. – Bóg jeden wie, przez co musiała przejść.

Tom wyciągnął z sosnowej szafki butelkę brandy, wlał do szklanki niewielką ilość i wychylił duszkiem. Usiadł obok żony, obserwując tańczące na jej twarzy słoneczne refleksy, kiedy pochylała się nad dzieckiem. Niemowlę wodziło za nią wzrokiem, jakby bało się, że jeśli choć na chwilę straci ją z oczu, Isabel zniknie.

– Małeństwo – szepnęła kobieta – biedne, biedne małeństwo. – Niemowlę tuliło się do jej piersi. Tom wyczuł w głosie żony z trudem powstrzymywane łzy. Wróciły wspomnienia, które niczym duchy zawisły w powietrzu.

– Chyba cię polubiła – zauważył. – Patrząc na nią, zastanawiam się, jak by to było... – ciągnął, jakby mówił do siebie. – To znaczy... nie chciałem... – dodał pospiesznie. – Chodzi o to, że wyglądasz,

jakbyś została do tego stworzona. – Mówiąc to, pogłaskał jej policzek.

Isabel podniosła wzrok i spojrzała na męża.

– Wiem, kochanie. Wiem, co miałaś na myśli. Czuję to samo.

Otoczył ją ramieniem. Pachniał brandy.

– Och, Tom, dzięki Bogu, że w porę ją znaleźliśmy.

Tom pocałował Isabel i musnął ustami czoło dziecka. Siedzieli tak przez chwilę, aż niemowlę zaczęło się wiercić, wyciągając ku nim małą piąstkę.

W końcu Tom dźwignął się od stołu.

– Muszę wysłać sygnał. Powiadomię o łodzi, niech przysła kogoś po ciało i pannę Mazgajską.

– Jeszcze nie! – zaprotestowała Isabel, dotykając paluszków dziecka. – To znaczy... nie musisz robić tego teraz. Temu biedakowi to i tak nie zrobi różnicy. A maleństwo dość już ma chyba łodzi, przynajmniej na jakiś czas. Zaczekaj. Daj jej odetchnąć.

– Miną godziny, zanim tu dotrą. Nic jej nie będzie. Zobacz, już się uspokoila.

– Zaczekajmy. Przecież to i tak nic nie zmieni.

– Muszę zapisać wszystko w dzienniku. Wiesz przecież, że powinienem od razu zgłaszać podobne wypadki. – Rzeczywiście, obowiązkiem Toma było zapisywanie wszelkich ważnych wydarzeń, które miały miejsce na wyspie albo w jej pobliżu, począwszy od przepływających statków i pogody, a na problemach ze sprzętem skończywszy.

– Zaczekaj z tym do rana, dobrze?

– A jeśli to łódź ze statku?

– To nie jest szalupa ratunkowa – zauważyła Isabel.

– W takim razie dziecko ma matkę, która czeka na nie gdzieś na brzegu i rwie włosy z głowy. Jak byś się czuła, gdyby chodziło o twoje dziecko?

– Widziałeś sweter. Matka na pewno wypadła za burtę i utonęła.

– Kochanie, nie wiemy nic o jej matce. Nie wiemy nawet, kim

jest ten mężczyzna.

– To najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie, prawda? Niemowlęta nie oddalają się same od rodziców.

– Izzy, wszystko jest możliwe. Skąd mamy wiedzieć, co tak naprawdę się wydarzyło?

– Czy kiedykolwiek słyszałeś o niemowlęciu dryfującym w łodzi na pełnym morzu, bez matki? – Mówiąc to, mocniej przytuliła dziecko do piersi.

– To poważna sprawa, Izz. Ten człowiek nie żyje.

– Ale dziecko żyje. Miej serce, Tom.

Coś w jej głosie sprawiło, że zamiast sprzeciwić się żonie, Tom rozważył jej prośbę. Może chce spędzić trochę czasu z dzieckiem? Może jest jej to winien? Isabel spojrzała na niego błagalnym wzrokiem.

– Ostatecznie... – mruknął, choć nie przyszło mu to łatwo – mogę poczekać. Ale wyślę sygnał jutro z samego rana, zaraz po tym, jak wyłączę światła.

Isabel pocałowała go i delikatnie uściśnęła jego ramię.

– Lepiej wróć do latarni. Właśnie wymieniałem lampę rtęciową – dodał.

Idąc ścieżką, usłyszał głos Isabel, która śpiewała: *Wiej wietrze południowy, południowy, południowy, wiej wietrze południowy nad pięknym, niebieskim morzem.* Dźwięki piosenki nie uspokoily go jednak, gdy wchodząc po schodach do latarni, próbował zapomnieć o zaniedbaniu, jakiego dopuścił się na prośbę żony.



# ROZDZIAŁ 1

*16 grudnia 1918*

– Tak, rozumiem – odparł Tom Sherbourne. Siedział w spartańsko urządzonym pokoju, dającym niewielkie wytchnienie od panującej na zewnątrz duchoty. Letni deszcz dzwonił o szyby, sprawiając, że ludzie na ulicach w pośpiechu szukali schronienia.

– Będzie naprawdę ciężko. – Mężczyzna po drugiej stronie biurka pochylił się do przodu, dla podkreślenia swoich słów. – To nie żarty. Nie chodzi o to, że zatoka Byron jest najgorszym przydziałem, ale chcę mieć pewność, że wiesz, na co się decydujesz. – Ubił kciukiem tytoń i zapalił fajkę. Podanie Toma było podobne do wielu innych z tamtego okresu: urodzony dwudziestego ósmego września 1893 roku, wojnę spędził na froncie, znał międzynarodowy kod sygnałowy i alfabet Morse’a, zdrowy i wysportowany, zwolniony z wojska z odznaczeniami. Zgodnie z panującymi zasadami, pierwszeństwo należało się byłym wojskowym.

– Na pewno nie... – Tom urwał i chwilę później zaczął od nowa. – Z całym szacunkiem, panie Coughlan, ale nie ma nic gorszego niż front zachodni.

Mężczyzna po raz kolejny utkwiał wzrok w dokumentach i spojrzął na Toma, jakby szukał czegoś w jego oczach, w twarzy.

– Tak, synu. Pewnie masz rację. – Znudzonym głosem

wyrecytował regułkę: – Sam opłacasz przejazd. Jesteś zmiennikiem, więc nie masz urlopu. Stałym pracownikom przysługuje miesięczny urlop pod koniec każdego trzyletniego kontraktu. – Sięgnął po grube pióro i podpisał formularz. Przyłożył pieczętkę do nasączonej tuszem poduszeczki. – Witamy... – przybił pieczętkę w trzech miejscach – w Stowarzyszeniu Latarników.

Formularz opatrzone datą szesnastego grudnia 1918.

\*

Sześć miesięcy spędzone w zatoce Byron u wybrzeży Nowej Południowej Walii, w towarzystwie dwóch latarników i ich rodzin, uświadomiło Tomowi, jak wygląda codzienne życie latarnika. Po zatoce Byron przyszedł czas na Maatsuyker, dziką wyspę na południe od Tasmanii, gdzie przez większą część roku padał deszcz, a wiejące w czasie sztormów porywiste wiatry ciskały kurczęta wprost w oszalałe fale.

Jako latarnik Tom Sherbourne ma mnóstwo czasu na rozmyślenia o wojnie. O twarzach i głosach swych towarzyszy, którzy w taki czy inny sposób uratowali mu życie. O ostatnich słowach konających żołnierzy i bezładnej paplaninie, której nie mógł zrozumieć, a mimo to, słuchając jej, uparcie kiwał głową.

Nie był jednym z tych, którzy wlekli za sobą pourywane kończyny i których wnętrzności wylewały się z brzucha niczym osłizgłe węgorze. Trujący gaz nie zmienił jego płuc i mózgu w kleistą breję. A mimo to cierpiał, zmuszony do życia w ciele człowieka, który na wojnie dopuścił się potwornych rzeczy. Wspomnienia tych wydarzeń wlokły się za nim niczym drugi cień.

Próbuje o tym nie myśleć. Wielokrotnie widział, co wspomnienia potrafią zrobić z człowiekiem. Dlatego wciąż żyje na krawędzi czegoś, czego sam nie potrafi nazwać. Kiedy śni o tamtych latach, Tom, którego widzi w snach, ten, który ma na rękach ludzką krew, jest zaledwie ośmioletnim chłopcem. W snach to właśnie on staje

naprzeciwko mężczyzn uzbrojonych w strzelby i bagnety i bezradny patrzy na własne skarpety, wiedząc, że aby je podciągnąć, będzie musiał odłożyć broń, która i tak cięży mu w rękach. Jakby tego było mało, nigdzie nie może odnaleźć matki.

Po przebudzeniu trafia do świata pełnego wiatru, fal, światła i mechanizmów, które podtrzymują płomień i obracają światło, utrzymując je w ciągłym ruchu.

Gdyby tylko mógł uciec wystarczająco daleko – z dala od ludzi i wspomnień – czas uleczyłby rany.

\*

Niewielka wyspa Janus Rock, oddalona tysiące mil od zachodniego wybrzeża, była najdalszym miejscem, do którego trafił wychowany w Sydney Tom. Tamtejsza latarnia morska była ostatnim zakątkiem Australii, który widział, gdy w 1915 roku wypływał do Egiptu na pokładzie transportowca. Powietrze pachniało eukaliptusami jeszcze długo po tym, jak stracił z oczu wybrzeże Albany, a gdy przestał czuć tę woń, ogarnęła go niewypowiedziana tęsknota. Kilka godzin później, w najodleglejszym zakątku swej ojczyzny zobaczył światło – pięciosekundowe błyski, których widok towarzyszył mu w czasie wojennej zawieruchy niczym wspomnienie pożegnalnego pocałunku. Kiedy w czerwcu 1920 roku dowiedział się o wolnej posadzie na wyspie Janus, miał wrażenie, że światło latarni go przyzywa.

Przycupnięta na krawędzi szelfu kontynentalnego Janus Rock cieszyła się złą sławą. I choć praca w tak trudnych warunkach oznaczała nieco wyższe zarobki, stare wygi mówiły, że nie jest warta tych pieniędzy, które i tak są niewielkie. Latarnik zastąpiony przez Toma, Trimble Docherty, wywołał prawdziwą burzę, kiedy zgłosił, że jego żona dawała znaki przepływającym statkom, wywieszając kolorowe flagi międzynarodowego kodu sygnałowego. To oburzyło ówczesne władze z dwóch powodów: po pierwsze, zastępca

kierownika związku latarników zakazał używania flag na wyspie Janus, ponieważ przepływające statki, aby je zobaczyć, podpływały niebezpiecznie blisko brzegu, po drugie, żona Docherty'ego, która jakoby wywieszała flagi, od jakiegoś czasu nie żyła.

Nastąpiła gwałtowna wymiana korespondencji pomiędzy Fremantle i Melbourne. Zastępca kierownika z Fremantle przedstawił ludziom z centrali stanowisko obrony Docherty'ego i historię jego długoletniej służby, a ci postanowili przyjrzeć się pracy latarnika, kosztem i przestrzeganiu przez niego zasad. W końcu osiągnięto kompromis, zgodnie z którym Docherty poszedł na sześciomiesięczny przymusowy urlop, a jego miejsce na wyspie zajął Tom.

– W normalnych okolicznościach nie wysłalibyśmy tam jednej osoby, bo to odległe miejsce i rodzina może stanowić nie tylko oparcie, ale i wielką pomoc – zwrócił się naczelnik okręgu do Toma. – Ale ponieważ jest to sytuacja przejściowa... Wypłynię pan z Partageuse za dwa dni – dodał, składając podpis na półrocznym kontrakcie Toma.

\*

Tom niewiele miał do załatwienia. Nie musiał się z nikim żegnać. Dwa dni później wszedł na trap z przerzuconym przez ramię workiem marynarskim. Parowiec o wdzięcznej nazwie *Prometheus* płynął niezmordowanie wzdłuż południowych wybrzeży Australii, zawijając do rozmaitych portów pomiędzy Sydney i Perth. Nieliczne kabiny zarezerwowane dla pasażerów podróżujących pierwszą klasą znajdowały się na górnym pokładzie, nieopodal dziobu. Płynący trzecią klasą Tom dzielił kabinę z podstarzałym marynarzem. „Pływam tą drogą od pięćdziesięciu lat. Nie mieliby czelności prosić mnie o pieniądze. Prawdziwy pech”, powiedział radośnie marynarz i skupił się na wielkiej butelce wysokoprocentowego rumu. Zmęczony wdychaniem oparów alkoholowych Tom za dnia przechadzał się po

pokładzie, czekając na wieczorną partyjkę kart.

\*

Nietrudno było się domyślić, kto spędził wojnę na froncie, a kto przesiedział ją w domu. Ludzie ciągnęli do swoich. Siedzenie pod pokładem budziło wspomnienia transportowców, które zabrały ich na Bliski Wschód, a później dalej, do Francji. Wystarczyło wejść na pokład, by instynktownie wyczuć, kto jest oficerem, a kto niższy rangą.

Tak jak na transportowcach ludzie szukali tu rozrywki, która ożywi atmosferę i umili podróż. Gra, w którą grali, również wydawała się znajoma. Wygrywał ten, kto pierwszy zdobył coś, co należało do pasażera pierwszej klasy. Nie chodziło jednak o byle jaką rzecz, ale o damskie figi. Wygrana rosła dwukrotnie, jeśli trofeum zostało zdjęte z właścicielki.

Prowodyr, wąsaty mężczyzna nazwiskiem McGowan, o palcach pożółkłych od papierosów Woodbine, powiedział, że rozmawiał z jednym ze stewardów o liście gości: wybór był dość ograniczony. W dziesięciu kajutach mieszkali: prawnik z żoną (lepiej trzymać się od nich z daleka), kilka podstarzałych par, dwie stare panny (brzmiało obiecująco) oraz podróżująca samotnie córka jakiegoś człowieka z wyższych sfer.

– Przypuszczam, że moglibyśmy wspiąć się z boku i wejść przez okno – powiedział. – Kto idzie ze mną?

To, że przedsięwzięcie było ryzykowne, nie zaskoczyło Toma. Odkąd wrócił, słyszał wiele podobnych opowieści o mężczyznach ryzykujących życie dla kaprysu, skakali przez szlabany na przejazdach kolejowych i rzucali się w środek wiru, żeby zobaczyć, czy dadzą radę wypłynąć na powierzchnię. Wielu z tych, którzy uniknęły śmierci, podświadomie wciąż jej szukało. Jednak ci ludzie sami sobie byli panami, a ich słowa tylko czczymi przechwałkami.

\*

Kolejnej nocy, kiedy dręczące go koszmary stały się nie do wytrzymania, Tom postanowił uciec przed nimi na pokład. Była druga. O tej porze mógł spacerować, gdzie tylko chciał, więc przechadzał się, patrząc na widoczną na wodzie srebrzystą smugę księżycowego światła. Wszedł na górny pokład, chwytając się poręczy, i przez chwilę rozkoszował się łagodną bryzą, podziwiając usiane gwiazdami nocne niebo.

Kątem oka w iluminatorze jednej z kabin dostrzegł błysk. Najwidoczniej pasażerowie podróżujący pierwszą klasą również miewali problemy z zaśnięciem. Nagle obudził się w nim szósty zmysł – znajomy, nieokreślony instynkt, ostrzegający go przed niebezpieczeństwem. Najciszej jak mógł podkraść się do kabiny i zajrzał przez iluminator.

W skąpym świetle zobaczył kobietę, która tuliła się do ściany, choć stojący przed nią mężczyzna nie zdążył jej nawet dotknąć. Jego twarz dzielił zaledwie cal od twarzy kobiety, oczy patrzyły na nią pożądliwie. Tom potrzebował chwili, by rozpoznać w nim mężczyznę spod pokładu, i przypomniał sobie nagrodę. Cholerni idioci. Nacisnął klamkę i drzwi się otworzyły.

– Zostaw ją – powiedział, wchodząc do kabiny. Głos miał spokojny, ale stanowczy.

Mężczyzna odwrócił się, żeby spojrzeć na intruza, i widząc Toma, uśmiechnął się.

– Chryste! Myślałem, że to steward! Możesz mi pomóc, właśnie...

– Powiedziałem, żebyś dał jej spokój. Wynoś się. Natychmiast.

– Jeszcze nie skończyłem. Właśnie zamierzałem sprawić pani wielką przyjemność. – Cuchnął alkoholem i papierosami.

Tom położył mu rękę na ramieniu i ścisnął tak mocno, że mężczyzna krzyknął. Był dobre sześć cali niższy od Toma, a mimo to zamierzył się na niego. Tom złapał go za nadgarstek i wykręcił mu

rękę. – Nazwisko i stopień!

– McKenzie. Szeregowy. CX-trzy-dwa-siedem-siedem. – Mężczyzna odruchowo podał swój numer identyfikacyjny.

– Szeregowy, proszę natychmiast przeprosić tę młodą damę, wrócić do kabiny i nie pokazywać się na pokładzie, dopóki nie zacumujemy. Zrozumiano?

– Tak jest! – McKenzie spojrział na dziewczynę. – Proszę wybaczyć, panienko. Nie chciałem panienki skrzywdzić.

Przeżona kobieta niemal niezauważalnie skinęła głową.

– A teraz wynocha! – warknął Tom.

Mężczyzna w jednej chwili stracił pewność siebie i powłócząc nogami, wyszedł z kajuty.

– Nic pani nie jest? – zwrócił się Tom do kobiety.

– Chyba... chyba nie.

– Skrzywdził panią?

– Właściwie... – mówiła bardziej do siebie niż do niego – właściwie nawet mnie nie dotknął.

Tom przyjrzał się jej twarzy – szare oczy dziewczyny wydawały się nieco spokojniejsze. Jej ciemne włosy opadały miękkimi falami do połowy pleców, a pięści zaciskały się na kołnierzyku nocnej koszuli. Tom zdjął wiszący na haczyku szlafrok i zarzucił jej na ramiona.

– Dziękuję – odparła.

– Musiała się pani niezłe przestraszyć. Obawiam się, że niektórzy z nas odzwyczaili się od cywilizowanego towarzystwa.

Nie odpowiedziała.

– Ten człowiek nie będzie już pani niepokoił. – Postawił krzesło, które przewrócił, wchodząc do kabiny. – Może wnieść pani na niego skargę, ale obawiam się, że wojna wystarczająco namieszała mu w głowie.

Spojrzała na niego pytająco.

– Walka na froncie zmienia ludzi. Niektórzy przestają dostrzegać różnicę między dobrem a złem. – Ruszył do wyjścia,

jednak w ostatniej chwili się odwrócił. – Ma pani wszelkie prawo, by wnieść przeciwko niemu oskarżenie, ale myślę, że i bez tego ma dość kłopotów. Tak jak mówiłem, wszystko zależy od pani. – Po tych słowach wyszedł z kajuty.



## ROZDZIAŁ 2

Point Partageuse został nazwany na cześć francuskich odkrywców, którzy nanieśli na mapę przylądek w południowo-zachodniej części Australii na długo przed tym, zanim Brytyjczycy zaczęli kolonizować zachód, w 1826 roku. Od tamtej pory osadnicy wędrowali z Albany na północ i na południe z kolonii Swan River, roszcząc sobie prawo do napotykanych po drodze dziewiczych lasów. Wysokie niczym katedry drzewa ustąpiły miejsca pastwiskom. W leśnej głuszy powstawały prymitywne drogi, wyrąbywane kawałek po kawałku przez białoskórych mężczyzn, którym towarzyszyły zaprzęgi silnych, potężnych koni. Ziemia, która nigdy dotąd nie zaznała ingerencji człowieka, była wypalana i obdzierana ze skóry, oznaczana na mapach i mierzona przez tych, którzy postanowili spróbować szczęścia na półkuli, gdzie czekały na nich rozpacz, śmierć albo niewyobrażalne bogactwa.

Mieszkańcy Partaguense byli niczym drobinki kurzu na wietrze, które osiadły w miejscu, gdzie jeden ocean łączył się z drugim. To tu znaleźli wodę pitną, naturalny port i urodzajną glebę. Tutejszy port nie mógł się równać z tym, który wybudowano w Albany, jednak wystarczał miejscowym do transportu drewna sandałowego i wołowiny. W okolicy, niczym porosty na skale, rozkwitały kolejne

interesy. Niebawem w miasteczku powstała szkoła, rozmaite kościoły, domy z cegły oraz kamienia i kolejne z desek i blachy. Tuż po nich sklepy, ratusz, a nawet filia agencji rolnej Dalgety'ego. I puby. Mnóstwo pubów.

\*

W początkowym okresie rozwoju miasta mieszkańcy Point Partageuse wierzyli, że prawdziwe życie toczy się gdzieś indziej. Wieści ze świata napływały powoli niczym skapujące z liści krople deszczu – strzęp informacji tu, plotka tam. Po pojawieniu się linii telegraficznej w 1890 roku życie w miasteczku nabrało tempa, zwłaszcza gdy w nielicznych domach pojawiły się pierwsze telefony. W 1899 roku miasteczko wysłało swoje oddziały do Transwalu i straciło kilku mieszkańców, mimo to życie w Partageuse nadal płynęło spokojnie i leniwie: nie należało się spodziewać niczego wyjątkowo okropnego ani też cudownego.

Inne miasteczka na zachodzie postrzegały rzeczy zupełnie inaczej. Na przykład Kalgoorie, wybudowane setki mil od wybrzeża, z ukrytymi pod pustynią podziemnymi rzekami złota. Przybysze napływali do miasta uzbrojeni w taczki i sita, a wyjeżdżali samochodami, które kupili za bryłki złota wielkości kociąt. Nic dziwnego, że tamtejsze ulice nazywano imionami takich ludzi, jak mityczny Krezus. Kalgoorie miało to, czego pragnął świat. To, co mieli do zaoferowania mieszkańcy Point Partageuse – drewno sandałowe – było niczym w porównaniu z trawiącą Kal gorączką złota.

Sytuacja zmieniła się w 1914 roku, kiedy mieszkańcy Partageuse odkryli, że oni również mają coś, czego pożąda świat: mężczyzn. Młodych, silnych i zdrowych mężczyzn. Mężczyzn, którzy całe życie machali siekierami, orali ziemię i walczyli o przetrwanie. Którzy mieli stać się pierwszymi ofiarami złożonymi na ołtarzach wojny toczącej się na drugim końcu świata.

Rok 1914 był rokiem flag i pachnących nowością mundurów. Rok później życie w Point Partageuse nabrało innego wymiaru. Nagle przestało być nieciekawie i spokojnie, gdy zamiast roślących ukochanych mężów i synów do miasteczka zaczęły napływać kolejne telegramy. Skrawki papieru wypadały z odrętwiałych kobiecych rąk i unosiły się na wietrze, zabierając ze sobą lakoniczną wiadomość, że chłopiec, którego karmiły piersią, kąpały i beształy, nie wróci do domu. Świat późno upomniał się o mieszkańców Point Partageuse i już na początku zażądał od nich ofiar.

Naturalnie utrata dzieci była czymś, z czym należało się pogodzić. Nikt nie mógł zagwarantować, że poród zakończy się udanym porodem ani że udany poród będzie gwarancją długiego i szczęśliwego życia. Natura dbała o to, by tylko silne, szczęśliwe jednostki dostały życie w raju. By się o tym przekonać, wystarczyło zajrzeć do Biblii. Miejscowy cmentarz również opowiadał historie dzieci, które z powodu ukąszenia węża, gorączki albo upadku z wozu w końcu posłuchały słów matczynej kołysanki i *zamknęły swe oczęta*. Te, które przeżyły, przyzwyczajały się do tego, że na stole pojawiał się jeden talerz mniej, tak jak przyzwyczajały się do ścisku, jaki panował w domu, gdy na świat przychodziło rodzeństwo. Niczym na polach pszenicy, obsianych gęściej niż to konieczne, Bóg zsyłał do Point Partageuse dzieci i zabierał je do siebie według jakiegoś tajemniczego niebiańskiego kalendarza.

Władze miejscowego cmentarza skrupulatnie odnotowywały każdy z tych przypadków, a posępne, samotne nagrobki nie pozwalały zapomnieć o dziesiątkach niewinnych istnień, które odeszły z tego świata z powodu grypy, utonięcia, przygniecione drzewami czy rażone piorunem. Jednak w 1915 roku rejestry zaczęły kłamać. Chłopcy i mężczyźni nieustannie tracili życie, a mimo to cmentarne księgi nie wspominały o nich ani słowem.

Prawda była taka, że ciała chłopców leżały w błocie z dala od rodzinnych domów. Władze robiły, co mogły. Tam, gdzie pozwalały

na to warunki, kopano groby. Jeśli zebrane szczątki umożliwiały identyfikację ciała, dokładano wszelkich starań, by tak się stało, i zapewniano ofierze godny pochówek. Prowadzono rejestry. Nieco później zaczęto robić fotografie grobów i za sumę dwóch funtów, jednego szylinga i sześciu pensów rodzina mogła kupić specjalną pamiątkową tabliczkę. Z upływem czasu pojawiały się kolejne pomniki ku czci poległych. Ludzie przestali rozpamiętywać straty i zaczęli mówić o tym, co dzięki nim zyskali. Zwycięstwo miało upojny smak, choć, jak mawiali niektórzy: „Zwycięstwo okupione śmiercią to żadne zwycięstwo”.

\*

Bez mężczyzn Point Partageuse przypominał dziurawy szwajcarski ser. I nie chodziło o nabór. Nikt nie zmuszał tych mężczyzn, by szli i walczyli.

Jednak przewrotny los najokrutniej obszedł się ze „szczęściarzami”, którzy wrócili do domu, do czystego mieszkania, wystrojonych dzieci i psa z przywiązaną do obroży kolorową wstążką. Psy zwykle jako pierwsze zauważały, że coś jest nie tak. Nie chodziło o to, że niektórzy z nich stracili oko albo nogę. Po powrocie zachowywali się tak, jakby utracili znacznie więcej, jakby ich myśli dryfowały w zupełnie innym miejscu, daleko od ciała.

Na przykład taki Billy Wishart z młyna Sadlera. Ma trójkę dzieci i żonę, o jakiej marzy każdy mężczyzna. Po powrocie zaczął pić i nie jest w stanie podnieść do ust łyżki z zupą. Ręce drżą mu tak bardzo, że nie potrafi sam zapiąć guzików. Wieczorem kładzie się do łóżka w ubraniu i zwinęty w kłębek szlocha jak dziecko. Albo młody Sam Dowsett, który przeżył bitwę o Gallipoli\* tylko po to, by pod Bullecourt stracić obie ręce i połowę twarzy. Jego owdowiała matka

---

\*W bitwie o półwysep Gallipoli w Turcji, toczonej od 25 kwietnia do 9 stycznia 1916 r. i zakończonej fiaskiem państw ententy, zginęło prawie 9 tysięcy Australijczyków.

nie może spać, myśląc o tym, kto zaopiekuje się chłopcem, kiedy jej zabraknie. Żadna dziewczyna w okolicy nie jest na tyle głupia, by wyjść za kogoś, kto przypomina dziurawy szwajcarski ser.

Przez długi czas ludzie mieli zdziwione miny wytwornych graczy, których nagle poinformowano, że reguły gry uległy zmianie. Pocieszali się myślą, że ich chłopcy nie zginęli na próżno i stali się częścią wspaniałej walki o słuszną sprawę. Były chwile, kiedy naprawdę w to wierzyli, i z trudem powstrzymywali pełen rozpaczy, wściekły wrzask, który od dawna wiązał w gardłach.

\*

Po wojnie ludzie szukali wytłumaczenia dla tych, którzy wracając z frontu, nie stronili od alkoholu, bijatyk i nie potrafili utrzymać pracy dłużej niż kilka dni. Miejscowi przedsiębiorcy jakoś sobie radzili. Kelly wciąż był właścicielem sklepu spożywczego. Stary Len Bradshaw nadal prowadził sklep mięsny, choć młody Len tylko czekał, kiedy przejmie jego interes; wystarczyło spojrzeć, jak szarogęsił się za ladą i sięgał po kotlet albo świński ryj. Pani Inkpen (której imię pozostawało tajemnicą, choć siostra mówiła do niej Popsy) zaczęła zarządzać kuźnią, kiedy jej mąż Mack zginął w bitwie pod Gallipoli. Była twarda jak żelazo, którym podkuwano końskie kopyta. Jej pracownicy, potężni mężczyźni, zawsze zwracali się do niej z szacunkiem – „Tak, pani Inkpen”, „Nie, pani Inkpen”, „Trzy pełne worki, pani Inkpen” – choć w porównaniu z nimi była prawdziwą kruszyną.

Ludzie wiedzieli, komu udzielić kredytu, do kogo pójść po pożyczkę i komu wierzyć, kiedy wracali z towarem i domagali się zwrotu pieniędzy. Sklep tekstylno-pasmanteryjny Mouchemore'a przeżywał prawdziwe oblężenie koło Bożego Narodzenia i Wielkanocy, a późną jesienią zarabiał krocie na sprzedaży wełny i damskiej bielizny. Larry Mouchemore, gładząc wąsy, poprawiał wszystkich tych, którzy niepoprawnie wymawiali jego nazwisko

(bardziej jak „mów”, nie jak „mysz”) i z obawą spoglądał na panią Thurkle, która ubzduriała sobie, że tuż obok otworzy zakład kuśnierski. Sklep z futrami? W Point Partageuse? Wyobrażacie sobie? Uśmiechał się łagodnie, kiedy pół roku później sklep został zamknięty. W akcie „sąsiedzkiej życzliwości” kupił resztę towarów, które sprzedał za pokaźną sumę kapitanowi parowca płynącego do Kanady, gdzie – zdaniem kapitana – ludzie oszaleli na punkcie futer.

W 1920 roku mieszkańcy Point Partageuse poczuli dumę okupioną bolesnymi doświadczeniami, tak charakterystyczną dla każdego miasteczka na zachodzie Australii. Pośrodku zielonego skweru, nieopodal głównej ulicy, stanął granitowy obelisk z nazwiskami chłopców i mężczyzn, którzy nie wrócą już do domów, by zorać pola i ściąć drzewa, choć wielu mieszkańców wciąż czekało na ich powrót. Stopniowo życie w miasteczku wróciło do normy, przypominając tkaninę, w której każda nić spletała się z innymi poprzez szkołę, pracę i małżeństwo, tworząc misterny wzór niewidoczny dla ludzi z zewnątrz.

Janus Rock – Łódź z zapasami przyływała tu cztery razy w roku – wisiała na skraju tej tkaniny niczym oberwany guzik, który lada chwila oderwie się i spadnie na Antarktydę.

\*

Długie wąskie molo w Point Partageuse zrobiono z tego samego drewna, które przewożono wagonami, by załadować je na statki. Wody rozległej zatoki, nad którą zbudowano miasto, przypominały płynny turkus. W dniu, kiedy statek Toma zacumował, lśniły niczym polerowane szkło.

W porcie zapanowało ożywienie. Mężczyźni krzatali się, ładując i rozładowując towary, dźwigali je i siłowali się z ładunkiem pośród krzyków i gwizdów. To samo działo się na brzegu, gdzie ludzie pojawiali się i znikali, przychodząc pieszo albo przyjeżdżając wozami zaprzężonymi w konie.

Jedyną osobą, która nie brała udziału w tej krzątaninie, była młoda kobieta karmiąca chlebem stado mew. Śmiejąc się, rozrzuciła okruchy i patrzyła, jak ptaki, krzycząc, wyłkocają się o najlepsze kąski. Mewa w locie pochwyliła smakołyk i zanurkowała po kolejny, czym jeszcze bardziej rozbawiła dziewczynę.

Tom miał wrażenie, że minęły lata, odkąd ostatni raz słyszał tak szczery, niewinny śmiech. Było pogodne zimowe popołudnie, a on nigdzie się nie spieszył i nie miał nic do roboty. Popłynie na Janus Rock dopiero za kilka dni, po tym jak spotka się z właściwymi ludźmi i podpisze odpowiednie dokumenty. Tymczasem nie musiał wypełniać żadnych rejestrów, polerować przyrządów ani dolewać paliwa do zbiorników. Miał przed sobą szczęśliwą, roześmianą dziewczynę – dowód, że wojna naprawdę się skończyła. Usiadł na ławce nieopodal mołu, pozwalając, by promienie słońca pieściły jego twarz. Patrzył na nieznaną, na długie ciemne włosy, falujące jak rzucona na wiatr rybacka sieć. Spoglądał na jej palce, kreślące w powietrzu skomplikowane wzory. Dopiero po chwili zauważył, jaka jest ładna, może nawet piękna.

– Dlaczego się uśmiechasz? – Głos dziewczyny wyrwał go z zadumy.

– Przepraszam. – Tom poczuł, że się czerwieni.

– Nigdy nie przepraszaj za to, że się uśmiechasz! – powiedziała głosem, w którym pobrzmiwał smutek, ale po chwili jej twarz pojaśniała. – Nie jesteś z Partageuse.

– Rzeczywiście, nie jestem.

– Ja mieszkam tu od urodzenia. Chcesz trochę chleba?

– Dzięki, nie jestem głodny.

– Nie dla ciebie, głuptasie! Dla mew.

Wyciągnęła ku niemu pociemniałą skórkę chleba. Rok temu, może jeszcze wczoraj, Tom odmówiłby i odszedł. Jednak ciepło, poczucie wolności, uśmiech dziewczyny i coś, czego nie potrafił nazwać, sprawiło, że przystał na jej propozycję.

– Założę się, że więcej mew przyleci do mnie niż do ciebie – zaszcebiotała.

– W porządku! Sama tego chciałaś! – odparł.

– W takim razie zaczynajmy! – krzyknęła, śmiejąc się. Cisnęła w powietrze garść okruchów i pochyliła głowy, gdy rozwrzeszczane mewy rzuciły się na jedzenie, nurkując w powietrzu i tłukąc wściekle skrzydłami.

– Kto wygrał? – spytał ze śmiechem Tom, gdy w jego ręku nie został już kawałek chleba.

– Och! Zapomniałam policzyć. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Powiedzmy, że był remis.

– Dobrze. – Założył czapkę i sięgnął po płócienny worek. – Lepiej już pójdę. Dzięki. Było miło.

– To tylko głupia zabawa – zauważyła z uśmiechem.

– W takim razie dziękuję za przypomnienie mi, że głupie zabawy mogą być miłe. – Zrzucił worek na barczyste ramię i odwrócił się w stronę miasta. – Miłego popołudnia, panienko.

\*

Tom zadzwonił do drzwi pensjonatu przy głównej ulicy. Dom należał do pani Mewett, korpulentnej kobiety po sześćdziesiątce.

– W liście napisano, że jest pan kawalerem i pochodzi ze wschodniego wybrzeża, tak więc byłabym wdzięczna, gdyby pamiętał pan, że jesteśmy w Point Partageuse. To chrześcijańska placówka. Palenie tytoniu i spożywanie alkoholu na terenie pensjonatu jest zabronione.

Tom spodziewał się, że kobieta wręczy mu klucz, jednak ona ścisnęła go w dłoni i ani myślała oddać.

– Proszę zapomnieć o dawnych zwyczajach. Zmienię prześcieradło po pańskim wyjeździe i mam nadzieję, że nie będę musiała go szorować, jeśli wie pan, co mam na myśli. Drzwi zamykamy o dwudziestej drugiej, śniadanie podajemy o szóstej.



Kto nie zejdzie na czas, będzie chodził głodny. Herbatkę pijamy o siedemnastej trzydzieści; w tym przypadku również nie czekamy na spóźnialskich. Lunch proszę jadać na mieście.

– Bardzo dziękuję, pani Mewett – odparł Tom. Postanowił zachować powagę na wypadek, gdyby uśmiech oznaczał złamanie kolejnej zasady.

– Ciepła woda to dodatkowy szyling tygodniowo. Od pana zależy, czy chce pan z niej skorzystać, czy też nie. Z doświadczenia wiem, że w pańskim wieku zimna woda jeszcze nikomu nie zaszkodziła. – Po tych słowach wręczyła mu klucz do pokoju. Kiedy, utykając, ruszyła w głąb korytarza, Tom zastanawiał się, czy istnieje ktoś taki jak pan Mewett, który choć trochę lubi tę kobietę.

W małym pokoju na tyłach domu wyjął zawartość płóciennego worka, ustawiając mydło i przybory do golenia na jedynej półce. Złożył kalessony i razem ze skarpetami schował je do szuflady. Na koniec otworzył wąską szafę i powiesił w niej trzy koszule, dwie pary spodni, garnitur i krawat. Włożył do kieszeni książkę i wyruszył na zwiedzanie miasta.

\*

Jedynym obowiązkiem Toma Sherbourne'a w Point Partageuse był obiad w towarzystwie kapitana portu i jego żony. Kapitan Percy Hasluck odpowiadał za wszystko, co działo się w porcie, i tradycją było, że kolejni latarnicy z Janus Rock przed wypłynięciem na wyspę jedli z nim uroczysty obiad.

Tom umył się i ogolił, nałożył brylantynę na włosy, przyglądził je, przypiął kołnierzyk i włożył garnitur. Słoneczna pogoda ostatnich dni ustąpiła miejsca niskim chmurom i mroźnemu antarktycznemu wiatrowi, więc zdecydował, że lepiej będzie, jeśli włoży ciężki dwurzędowy płaszcz.

Wyszedł z pensjonatu wcześniej, niż było to konieczne, i dotarł do domu kapitana grubo przed czasem. Gospodarz powitał go

ciepłym, szerokim uśmiechem, a gdy Tom przeprosił za tak wczesne najście, „pani kapitan Hasluck”, jak mówił o niej mąż, klasnęła i zaszczebiotała:

– Boże jedyny, panie Sherbourne! Proszę nie przeproszać za to, że zaszczyił nas pan swoją obecnością, zwłaszcza że przyniósł pan takie piękne kwiaty. – Mówiąc to, powąchała róże, które Tom za dodatkową opłatą zerwał w ogrodzie pani Mewett. Kobieta zadarła głowę, żeby lepiej mu się przyjrzeć. – Dobry Boże! Jest pan prawie tak wysoki jak ta latarnia! – powiedziała i zaśmiała się z własnego żartu.

Kapitan wziął kapelusz i płaszcz Toma.

– Zapraszam do salonu.

– Powiedział pająk do muchy! – dodała śpiewnym głosem jego żona.

– Sam pan widzi, że moja małżonka to prawdziwa żartownisia! – skomentował kapitan. Tom zaczął się obawiać, że czeka go długi i męczący wieczór.

– Sherry? A może szklaneczkę porto? – spytała pani kapitanowa.

– Okaż trochę litości i przynieś biedakowi butelkę piwa – poprosił ze śmiechem kapitan Hasluck. Poklepał Toma po plecach. – A teraz siadaj, młodzieńcze, i opowiedz mi o sobie.

Na szczęście w tym samym momencie ktoś zadzwonił do drzwi.

– Przepraszam – bąknął kapitan. Chwilę później Tom usłyszał w korytarzu jego donośny głos: – Cyrilu, Bertho. Jak miło, że przyszliście. Pozwólcie, że wezmę wasze kapelusze.

Pani kapitanowa wróciła do salonu ze srebrną tacą, na której stała butelka piwa i szklanki.

– Pomyśleliśmy, że zaprosimy kilkoro znajomych, żeby przedstawić pana miejscowym. Partageuse to niezwykle przyjazne miejsce.

Wraz z kapitanem do pokoju weszli kolejni goście: Cyril Chipper, pulchny prezes lokalnego zarządu dróg, i jego żona Bertha, chuda

jak szczapa, ponura kobieta.

– No i co pan sądzi o lokalnych drogach? – zagadnął Toma Cyril, kiedy tylko zostali sobie przedstawieni. – Szczerze. Jak wypadają na tle wschodu?

– Ależ Cyrilu, daj spokój temu biednemu człowiekowi – zbeształa go żona. Tom dziękował Bogu nie tylko za tę interwencję, ale także za to, że w głębi domu znów rozległ się dźwięk dzwonka.

– Bill, Violet, jak miło was widzieć! – wykrzyknął kapitan, otwierając drzwi. – No, no, młoda damo, muszę przyznać, że z dnia na dzień robisz się coraz piękniejsza.

Chwilę później wrócił do salonu w towarzystwie postawnego mężczyzny z siwymi wąsami i jego żony, krzepkiej, rumianej kobiety.

– To Bill Graysmark, jego żona, Violet, i ich córka... – odwrócił się – ...gdzie ona się podziała? W każdym razie Bill i Violet mają córkę, która gdzieś tu się kręci. Przypuszczam, że niebawem do nas dołączy. Bill jest dyrektorem szkoły w Partageuse.

– Miło mi pana poznać. – Tom ucisnął rękę mężczyzny i ukłonił się jego żonie.

– A zatem – zaczął Bill Graysmark – jest pan gotowy zamieszkać na Janus Rock?

– Mam nadzieję, że wkrótce się przekonam – odparł Tom.

– To ponure miejsce.

– Nie jest pan pierwszą osobą, która mi o tym mówi.

– Na Janus Rock nie ma dróg – wtrącił Cyril Chipper.

– Tak, to oczywiste – odrzekł uprzejmie Tom.

– Nie mam najlepszego zdania o miejscach, w których nie ma dróg – ciągnął Chipper takim tonem, jakby rozprawiał o kwestiach moralnych.

– Brak dróg będzie najmniejszym z twoich problemów, synu – zauważył Graysmark.

– Proszę, tatku, daj spokój. – Tom stał plecami do drzwi, kiedy do salonu weszła córka dyrektora. – Twoje ponure opowieści są

ostatnią rzeczą, jakiej potrzeba temu biednemu człowiekowi.

– Ach! Mówiłem, że niebawem do nas dołączy – przypomniał radośnie kapitan Hasluck. – Oto Isabel Graysmark. Isabel, poznaj, proszę, pana Sherbourne’a.

Tom wstał, a gdy się odwrócił, zobaczył znajomą twarz. Zamierzał napomknąć coś o mewach, jednak dziewczyna uciszyła go uprzejmym:

– Miło mi pana poznać, panie Sherbourne.

– Proszę mi mówić Tom – powiedział, myśląc, że może rzeczywiście nie powinna spędzać popołudni, dokarmiając portowe ptaki. Zastanawiał się też, co kryje się za tajemniczym uśmiechem Isabel Graysmark.

\*

W czasie kolacji Hasluckowie raczyli Toma opowieściami o Point Partageuse i latarni, którą zbudowano za życia ojca kapitana.

– Jest niezwykle istotna dla handlu – zapewnił kapitan portu. – Ocean Południowy jest wystarczająco zdradziecki na powierzchni, nie mówiąc o pasmach podwodnych gór. Każdy wie, że bezpieczny transport jest kluczem do sukcesu.

– To oczywiste, iż prawdziwą podstawą transportu są dobre drogi. – Chipper próbował sprowadzić rozmowę na jedyny znany sobie temat.

Tom udawał, że słucha go z zainteresowaniem, jednak wciąż zerkał na Isabel. Siedząc nieco z boku, niezauważona przez resztę towarzystwa, przedrzeźniała Cyrila Chippera, gestykując i robiąc zabawne miny.

Widząc to, Tom próbował zachować powagę, jednak w pewnej chwili wybuchnął śmiechem, który natychmiast zmienił w udawany atak kaszlu.

– Wszystko w porządku, Tom? – spytała żona kapitana. – Przyniosę ci wody.

Nawet na nią nie spojrzął i zanosząc się kaszlem, bąknął tylko:

– Dziękuję. Pójdę z panią. Nie mam pojęcia, skąd ten kaszel.

Kiedy wstał, Isabel spowaźniała i zwróciła się do Chippera:

– Kiedy Tom wróci, musi mu pan koniecznie opowiedzieć o drogach z drewna eukaliptusa. – Zaraz potem spojrzała na Toma. – Pospiesz się, bo pan Chipper ma w zanadru całe mnóstwo ciekawych opowieści. – Uśmiechnęła się niewinnie, choć Tom mógłby przysiąc, że kąciki jej ust nieznacznie drgnęły.

\*

Kiedy spotkanie dobiegało końca, goście życzyli Tomowi wszystkiego dobrego podczas pobytu na wyspie Janus.

– Wyglądasz na mężczyznę ulepionego z twardej gliny – zauważył Hasluck. Bill Graysmark skwitował jego słowa skinieniem głowy.

– Cóż, dziękuję. Miło było państwa poznać. Tom ścisnął ręce dżentelmenom i kłaniał się paniom. – Dziękuję, że zadbała pani o to, by wprowadzono mnie w tajniki budowy dróg na zachodzie Australii – zwrócił się szeptem do Isabel. – Szkoda, że nie miałem okazji się zrewanżować. – Chwilę później goście opuścili dom kapitana i wyszli w chłodną zimową noc.

## Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)
- [empik.com](http://empik.com)
- [bonito.pl](http://bonito.pl)
- [taniaksiazka.pl](http://taniaksiazka.pl)

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.  
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę [wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com), gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).